



Jaume Cabré

PODRÓŻ ZIMOWA



MARGINESY

DWIE MINUTY

Westchnęła, zadowolona, wydmuchując dym. Sama widzisz. Nic się nie stało. Niewierność, jakie to proste: dwie minuty, pim pam pum i już masz za sobą zdradę małżeńską. Było oczywiste, że z nieba nie zstąpiły anioły, dmiąc w trąby potępienia. A ten prawie nieznamy mężczyzna miał idealne ciało; widać, że je dużo jogurtu.

– Jak ty to robisz, że w ogóle nie masz brzucha? – mogła zapytać, skoro już się spoufalili.

– Uprawiam sport. A ty nie powinnaś palić.

Uprawia sport. Dba o siebie. Nie tak jak ja albo Ricard, bo przychodzi taka chwila, kiedy jest ci wszystko jedno i nie myślisz o tym, żeby się podobać, tym bardziej że twój partner wcale tego od ciebie nie oczekuje.

– Pójdę już.

– Zaczekaj ze dwie minuty. Uważasz, że jestem ładna?

– Bardzo – skłamał ten od jogurtu.

Orgazm godny zapamiętania w jej pierwszym moralnym upadku; a Neus uprzedzała ją, że jeżeli to zrobi, będzie czuła więcej lęku niż przyjemności – lęku, że Ricard przyłapie ich na gorącym uczynku, lęku przed popełnieniem grzechu, lęku nie wiadomo przed czym, że będzie po niej widać, kiedy wyjdzie na ulicę – wszystko, tylko nie orgazm. A tu się okazuje, że owszem, i to z serwisantem pralek, usługi

na miejscu, atletą delikatnym i silnym, prawdziwą bestią. Dlaczego miałyby się bać? Nie czuła się zobowiązana wobec Ricarda, nie kochali się, nie... A gdyby przyszło mu do głowy właśnie dzisiaj wrócić do domu trochę wcześniej? Nie; w ciągu dwunastu lat nie zrobił tego ani razu.

– Wiesz co? Lepiej będzie, jak już sobie pójdziesz.

Mężczyzna podniósł się z wdziękiem, pozwolił, żeby kobieta, która wydawała się bardziej napalona niż płonąca pochodnia, obejrzała go sobie dokładnie, pomyślał, biedactwo, ale cóż, małe dymancko o poranku miła rzecz, uszczyptała ją w policzek, żeby zyskać na czasie, żeby dłużej mogła go podziwiać, i zaczęła się ubierać.

– To dla ciebie – powiedziała.

Wręczyła mu należność za naprawę pralki plus zadziwiająco suty napiwek. Pomyślał no nie, chyba jej tym rzucę w twarz. Ale ostatecznie udał, że nic nie zauważył, i włożył pieniądze do kieszeni. Zaprosił Katty na kolację.

– Jak ci na imię? – Leżąc jeszcze na łóżku, zdusiła szybko w popielniczce przed chwilą zapalonego papierosa, podniecona, z trudem powstrzymując się, żeby nie powiedzieć przychodź codziennie do mojej pralki. On w odpowiedzi pocałował swój palec wskazujący i uśmiechnął się, tak jak Cindy Crawford na okładce jakiegoś amerykańskiego pisma. Udając twardziela, odszedł, nie odwracając się za siebie. Zabrał skrzynkę z narzędziami i wyszedł, modląc się w duchu, żeby nie natknąć się na kogoś, kto by go przyłapał w niezręcznej sytuacji. Zamknął za sobą drzwi zdecydowanym ruchem, po cichu, i jeszcze przez moment myślał o nieznanym kobiecie, którą zostawił w obcym łóżku. Nie było mu jej żal. Nad sobą też się nie litował; przyszło mu do głowy, że mógłby zostać zawodowym żigolakiem,

ale szybko odrzucił tę myśl i uśmiechnął się zawstydzony. Kiedy się znalazł na ulicy, zapalił papierosa, na którego już od dłuższej chwili miał ochotę, zastanowił się, gdzie do licha zaparkował furgonetkę, i przejrzał listę adresów, żeby ustalić najkorzystniejszą kolejność i odzyskać stracony czas. Zszedł z chodnika na jezdnię w momencie, gdy bezszelestnie zajechała limuzyna. Ale fura, pomyślał. W środku nieskończenie długiej gabloty siedział nabzdyczony szofer w szarej liberii, z miną bez kija nie podchodzi; wiele metrów za nim, ale w tym samym samochodzie, dostrzegł oszałamiającą kobietę, śniadą, nawet bardzo śniadą, jak Campbell; zadatek na żigolaka pomyślał sobie, że nie miałby nic przeciwko temu, by udać się do jej domu i obsłużyć tam wszystkie pralki.

Szofer z nadętą miną musiał zwolnić, bo jakiś facet z papierosem w ustach i skrzynką z narzędziami w ręce przyglądał się jego szefowej, stojąc na środku ulicy.

– Gdzie się pchasz, idioto? Oczu nie masz? – wymamrotał przez zęby wkurzony i od razu sprawdził w lusterku wstecznym, czy królowa Saby nie usłyszała, co mówi.

Nie, skupiła się na swoim kalendarzyku. No, niezupełnie – właśnie podniosła głowę i po cichu, nie biorąc pod uwagę dzielącej ich odległości, władczym tonem wynikającym z jej bogactwa i urody poleciła, żeby się zatrzymał na rogu, obok jubilera, dwieście metrów dalej, i żeby na nią zaczekał.

– Tam nie wolno parkować – uprzedził ją, konstatając jednocześnie, że osobnik z papierosem, teraz pomniejszony w lusterku wstecznym, nadal im się przygląda z otwartymi ustami i aureolą dymu wokół głowy. To znaczy przyglądał się pannie Blance, na niego nikt nigdy nie zwracał uwagi.

– Coś wymyślisz; to tylko dwie minuty.

W ciągu dwóch minut królowa Saby zamierzała wejść do jubilera, uśmiechnąć się, odesłać trzech sprzedawców, wyciągnąć pana Laporte'a z gabinetu, poinformować go, że właśnie nabyła Buziego, sto dwa koma trzy karaty, powiedzieć, że zostawia mu zdjęcie diamentu (mam nadzieję, że słyszał pan, panie Laporte, o Buzim i Ezechielu) i niech już zacznie zastanawiać się nad złotym naszyjnikiem, godną oprawą tego cudu natury i dzieła zręczności i wrażliwości wyrafinowanego szlifierza, o czym któregoś dnia muszą spokojnie porozmawiać. I jeszcze zostanie jej dwadzieścia sekund.

Ponieważ nikt go nie pytał o zdanie, szofer musiał zatrzymać dla siebie opinię na temat poczucia czasu swojej szefowej. Zahamował delikatnie przed sklepem jubilera.

– Dwie minuty – obiecała panna Blanka, wysiadając z limuzyny. Szofer ustawił się w drugim rzędzie, bo próba zaparkowania tego monstrum w tym miejscu była marzeniem ściętej głowy. Wysiadł i niecierpliwie pomacał kieszeń liberii – strasznie chciało mu się zakurzyć. Zapalił i zaciągnął się z rozkoszą. Przez dziurę po wybitym zębie wypuścił gęsty, obfity dym i od razu lepiej się poczuł; odruchowo spojrzął na zegarek, żeby sprawdzić, ile będą trwać te dwie minuty, które miała spędzić w sklepie.

– Nie ma mowy: proszę natychmiast stąd odjechać.

Szofer odwrócił się i zobaczył jedną z tych strażniczek, których pasją jest decydowanie, jak i gdzie obywatele mogą parkować.

– Tylko dwie minuty – powiedział, zaciągając się po raz drugi.

Nic tak bardzo nie irytowało strażniczki jak niewolnicy milionerów, którzy bronili swoich szefów, jakby należeli

do ich rodziny. A zwłaszcza dzisiaj, kiedy miała na głowie norweską ciężarówkę, giganta, z którego wyładowywano obrazy przed fundacją, w asyście armii prywatnych strażników uzbrojonych w pistolety, tak jak ona, ale bez moralnego autorytetu, jaki jej nadawała pozycja funkcjonariuszki ratusza.

– Nie ma mowy. Tu nie wolno parkować.

– To co mam zrobić? Wsadzić go do kieszeni?

– To pański problem. Albo wypiszę mandat. Wybór należy do pana.

– A tamta ciężarówka to przyszcz?

– To rozładunek.

Przyglądała się, jak szofer się zastanawia, łąpczywie zaciągając się papierosem i spoglądając na zegarek, jakby tam spodziewał się znaleźć rozwiązanie.

– Jeżeli panią nie zastanie mnie pod drzwiami, jak wyjdzie, zmyje mi głowę.

– Mówiłam już, że to nie mój problem – przypomniała ze skwaszoną miną. – Niech pan odjedzie na parking.

– Myśli pani, że wpuszczą tę bestię na byle parking? – Wskazywał limuzynę gestem rybaka, który chwali się przed chwilą złowionym okoniem. – Daję słowo, to naprawdę tylko dwie minuty.

Żeby opanować rosnącą irytację, wyciągnęła bloczek z mandatami, zdecydowana na wszystko.

– Dobrze, jak pan sobie życzy.

Obeszła samochód, żeby sprawdzić numer rejestracyjny na tablicy z przodu. Szofer, z coraz bardziej naburmuszoną miną, rzucił niedopałek na ziemię i usiadł za kierownicą. Skupiona na odczytywaniu numeru usłyszała, jak ze złością trzasnęły drzwiami. Bardzo dobrze, posłuchał mnie,

pomyślała. Odsunęła się na bok, żeby jej nie potrącił, i udała, że odchodzi, by się zająć innymi wykroczeniami. Kiedy przypatrywała się, jak przerośnięta limuzyna się oddala, poczuła dym z niedopałka rzuconego na jezdnię. Rozejrzała się, gdzie jest najbliższa brama, upewniła się, że strażnicy pilnujący norweskiej ciężarówki nie mieli żadnych problemów ze złodziejami, mafią ani z handlarzami dzieł sztuki, i uznała, że nie dzieje się nic groźnego. Z wprawą nałogowca zapaliła papierosa i zaciągnęła się, starannie ukrywając dowód rzeczowy swojego przestępstwa za plecami. Dwie minuty na relaks. Po czterech machach zauważyła jakąś oszalałającą Mulatkę, która wyszła od jubilera po drugiej stronie ulicy i rozglądała się z niezadowoloną miną. Wyglądała, jakby czekała na taksówkę. To nie mój problem, pomyślała. I nadal paliła zakazanego papierosa, i myślała, że Carles z każdym dniem jest coraz bardziej nieobecny, czy to przypadkiem nie z powodu... Nie, podobno kobieta natychmiast wyczuje sygnały niewierności, a ja nic takiego nie zauważyłam. Ale zirytowała ją sama myśl o takiej możliwości. Wtedy zwróciła uwagę na niebieski samochód. Cholera, co za beczelność, zaparkował pod zakazem parkowania. Żal jej było przydepnąć niedopałek, ale ten dupek ma karę jak w banku.

– A niech to szlag – zaklął na widok strażniczki wkładającej mandat za wycieraczkę, kiedy wrócił do samochodu. Podeszedł do niej zdyszany. – Przecież nie było mnie dosłownie dwie minuty! – zawołał oburzony.

– Wszyscy tak mówią – odpowiedziała lodowatym tonem. – Zablockował pan wyjazd.

– Jasny szlag, przecież ja tylko...

– To nie mój problem. Ja tylko egzekwuję przepisy.

To przelało czarę goryczy: żeby mu ktoś powiedział, że to jego problem zapierniczać przez cały ranek, odbyć trzynaście wizyt w dwie godziny, wydać majątek na parkowanie, zostawić dosłownie na chwilę samochód pod zakazem i trafić na klienta, który chce sobie pogadać, a na koniec proszę, mandat. Kurwa mać.

– Chce pani wiedzieć, co ja zrobię z tym moim problemem? – powiedział potencjalny zawałowiec, wrywając strażnicze blankiet.

Kobieta stała nieruchomo, czekając, aż kierowca się uspokoi. I faktycznie, ulżyło mu, kiedy zgniótł mandat i rzucił go na ziemię. Ma dokładnie taki sam temperament jak Carles Clavat. Własnym uszom nie wierzył, kiedy usłyszał, jak strażniczka mówi z uśmiechem:

– Jak pan sobie życzy, ale wypiszę panu drugi za zaśmiecanie ulicy.

Tego już było za wiele, niech to jasny szlag. Wsiadł do samochodu i podświadomie powstrzymał się przed trzaśnięciem drzwiami, żeby ta harpia nie wlepiła mu kolejnej kary za hałasowanie na ulicy, dosłownie trzysta metrów od szpitala. Uruchomił silnik, nie sprawdzając, czy strażniczka podniosła zgnieciony blankiet i wygładza go ręką, czy wyciągnęła rewolwer i celuje mu w kark, niech to jasny szlag. Niemal wpakował się po błotnik w limuzynę, która właśnie zatrzymała się w drugim rzędzie tuż przed nim. Poszły w drobny mak światła kierunkowe, i to na środku ulicy, a usta same powtarzały kurwa, kurwa, kurwa. Zaraz musiał zwolnić, bo jakaś ogromna ciężarówka manewrowała jak na własnym podwórku... To skandal, dlaczego nie wlepi mandatu tamtemu kierowcy? Klnąc pod nosem, zatrzymał się na czerwonym świetle. Wkurzony całą tą sytuacją walnął

pięścią w kierownicę, wciskając klakson, który odezwał się ironicznym, doskonale rozpoznawalnym dźwiękiem, jakby sam się prosił o trzeci mandat.

Chociaż miała dobry wzrok, prawie wszystkie zęby własne i sprawne nogi, to jednak nie można było od niej oczekiwać, że zacznie biec po pasach. Więc tylko sobie pomyślała, a krzycz sobie, krzycz, a ja pójdę pomalutku. I spojrzała wyzywająco na niecierpliwego mężczyznę, który wyciągał rękę przez okno niebieskiego samochodu i nerwowo uderzał w karoserię, podczas gdy drugą ręką zapalał papierosa. To on wcisnął klakson, tak jakby nie widział, że było jeszcze zielone dla pieszych. Powoli wszędzie się dojdzie.

Natychmiast zapomniała o tamtym impertynencie i zaczęła oglądać wystawy, co lubiła robić, gdy wracała do domu tą stroną ulicy. No no, ale kiecka. Gdyby była młodsza. Zapytałabym o cenę, z czystej ciekawości, ale się wstydę. Mogłabym powiedzieć, że to dla siostrzenicy. Poza tym co mi zrobią? Zobaczyła strażniczkę miejską piszącą coś na samochodzie – pewnie mandat. Pomyślała, gdybym była młodsza, już dawno bym sobie wyrobiła prawo jazdy. I poszła dalej. Spieszyła się do domu, bo nie wyobrażała sobie, że mogłaby zapalić papierosa na ulicy, nie w jej wieku. Ale po drodze przyciągnęła jej uwagę kolejna ładna sukienka. Nie, tej by nigdy nie założyła, nawet gdyby była młodsza. Ta dzisiejsza moda jest zdecydowanie za krótka. Ale poza długością nie miała jej nic do zarzucenia. Podniosła głowę i zamarła: w szybie wystawy odbijał się jakiś cień. Cień mężczyzny z ciemną brodą, który po cichu nucił głębokim barytonem partię chóru niewolników z opery *Nabucco*. Cień pomyślał, przestraszyłem tę babcię i natychmiast o niej zapomniał, koncentrując się na wystawie, a ona poszła dalej,

marząc sobie o tym i owym. Damska odzież, bardzo sugestywna. W tej zielonej sukience jego żona nie wyglądałaby dobrze; jest trochę za szeroka w pasie. Z przykrością musiał się poprawić: z każdym dniem staje się coraz szersza w pasie. Co innego Sylwia. Jej jest dobrze we wszystkim. Przełamał się i spojrzał na cenę. Cholera. Cholera. Nie wie, czy będzie mógł sobie pozwolić na zakup, tak żeby żona nie zaczęła czegoś podejrzewać.

Zrezygnowany odszedł od wystawy. Zdenerwowali go jacyś strażnicy w mundurach, którzy nie pozwalali przejść chodnikiem, bo właśnie w tej chwili tragarze wynosili z ciężarówki coś w drewnianych skrzynkach. Wnosili je do fundacji. Wkurzył się, że z tego powodu musi zejść na jezdnię. Trzeba będzie zainteresować się tą wystawą. Powinien zainteresować się wieloma rzeczami, zwłaszcza teraz, kiedy nawet chwile spędzane z Sylwią zaczynały się pokrywać patyną nudy. Zaczął nucić cicho, cichutko, barytonem, fragment sam nie wiedział której z pieśni z *Winterreise*, i zasmuciły go słowa *Eine Strasse muss ich gehen, Die noch keiner ging zurück**. Trzydzieści metrów dalej jakaś poruszająca się szybko i bezszelestnie okazała limuzyna, nie wiadomo skąd, zatrzymała się na światłach. Baryton z brodą wyciągnął z kieszeni pęk kluczy i szukając tego właściwego, skierował się w stronę drzwi, powtarzając te same co zawsze, rutynowe, znane na pamięć gesty. Zagwizdał melodię odpowiednią do wchodzenia po schodach (adagio z *Kwartetu amerykańskiego* Dvořáka), jak każdego dnia, każdego roku. Przywitał go zapach ryżowej zapiekanki, jak to w czwartki,

* „Muszę pójść drogą, z której jeszcze nikt nie powrócił” (niem.), pieśń XX Wilhelma Müllera, *Der Wegweiser*, z cyklu *Winterreise*.

i pomyślał, co za szczęście, że żona jest dobrą kucharką, bo do tego faktycznie miała dryg.

– Cześć – usłyszał głos z głębi mieszkania. – Co się stało, że jesteś tak wcześnie?

– No widzisz... – I idąc korytarzem, zapytał: – Byli ci od pralki?

Płatny morderca na tropie płatnego mordercy, na którego życie także ktoś nastaje. Szemrany szlifierz diamentów z Amsterdamu, który próbuje wkraść się w łaski łódzkiego jubilera. Człowiek, którego kaszel niesie śmierć. Pianista, który podczas recitalu widzi w pierwszym rzędzie Franza Schuberta, choć ten nie żyje od 150 lat. Kataloński organmistrz surowo ukarany za zbrodnię, przy której nawet nie był obecny. To ledwie garstka bohaterów, których Jaume Cabré wyprawił w podróż.

Kataloński mistrz zwodzi i bawi się z czytelnikiem – na poważnie, z przymrużeniem oka, rubasznie. Miesza plany czasowe i wątki. Prowokuje: na przykład, czy J.S. Bach był twórcą muzyki dodekafonicznej albo czy istnieje najbardziej przesłodzony kawałek? Prowadzi wyrafinowaną grę. Podsuwa fałszywe tropy, fałszywe cytaty, z nonszalancją powołuje się na nieistniejące autorytety, z premedytacją myli rzeczywistość z fikcją.

Podróż zimowa przypomina wielowątkową opowieść, zapowiadającą opus magnum Cabrégo – Wyznaję.

Sed ut perspiciatis unde omnis iste natus error sit voluptatem accusantium doloremque laudantium, totam rem aperiam, eaque ipsa quae ab illo inventore veritatis et quasi architecto beatae sunt explicabo.

MICHAŁ NOGAŚ

Jaume Cabré urodził się w Barcelonie w 1947 roku.

Od lat uznaje się go za najwybitniejszego pisarza katalońskiego. Jest autorem wielu powieści, zbiorów opowiadań, esejów literackich oraz scenariuszy filmowych i telewizyjnych. Należy do Instytutu Studiów Katalońskich, a jego utwory, wysoko oceniane przez czytelników i krytyków, były wielokrotnie nagradzane, filmowane i tłumaczone. Ukazały się w ponad 25 krajach. Nakładem Wydawnictwa Marginesy ukazały się jego powieści: *Wyznaję* (2013), *Głosy Pamano* (2014), *Jaśnie pan* (2015), *Cień eunucha* (2016) i *Agonia dźwięków* (2017).



cena 39,90 zł



PATRONAT MEDIALNY

BOOKLIPS.PL IIII

